

## ○ uniwersytecie

Niech wolno mi się będzie przyznać na początku do wielkiego zażenowania. Jestem ogromnie zażenowany najpierw tym, że przemawiam ze szpulki (drogą retransmisji z taśmy magnetofonowej), co jest prawdopodobnie szczytem nieprzyzwoitości, a po drugie tym, że muszę mówić o uniwersytecie. Jak Państwo już wiedzą, Platon w *Eutyfronie* udowodnił niezbitcie, że fachowcy nie mają pojęcia o tym, co czynią i jako dobry platonik jestem przekonany, że każde dziecko wie lepiej ode mnie, czym jest uniwersytet. No, ale skoro wyższa władza Veritatu tego żąda, ośmielam

się sformułować kilka myśli, które mi się, choć jestem fachowcem, na temat tego fachu nasunęły.

Proszę, aby Państwo zechcieli zrozumieć, że nie chodzi tutaj o jakieś programowe, wyczerpujące omówienie tego olbrzymiego splotu zagadnień, jakie uniwersytet nasuwa z katolickiego punktu widzenia i że mogę ofiarować Państwu tylko kilka luźnych refleksji. Rzecz moja będzie się składała z dwóch części głównych. W pierwszej części będę mówił o misji bezpośredniej uniwersytetu, a w drugiej o tym, co z niej wynika.

---

Odczyt wygłoszony na XVII Weekendzie Dyskusyjnym P.K.S.U. Veritas w Londynie w dniu 19 kwietnia 1952 roku, opublikowany w wydawanym przez Veritas Katolickim Tygodniku Religijno-Kulturalnym „Życie” 6 (1952) 35(27) z 31 sierpnia 1952 roku. Dziękujemy władzom Fundacji i Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas z Londynu za zgodę na przedruk odczytu.



Tytułem wstępu do tych refleksji powiem, że zajmuję stanowisko tomistyczne. Rozumiem przez to w tej sprawie bardzo daleko posunięty sceptycyzm w stosunku do wszelkich rzekomo ponadludzkich abstrakcji, w rodzaju na przykład „Nauki” przez duże N i temu podobnych, jeżeli wolno mi się wyrazić, mitów. Mianowicie, że słowa te mogą wprawdzie mieć dobry sens, ale pod warunkiem, że się ich nie będzie pisało wielką literą i jeżeli się zrozumie, że chodzi zawsze w ich znaczeniu o konkretnego, pojedynczego człowieka.

Nie jestem więc skłonny, na tym stanowisku stojąc, uznać jakiegokolwiek kultu nauki przez wielkie N, ani uniwersytetu, owego fałszywego bóstwa, nazywać świątynią. Wydaje mi się, że uniwersytet żadną świątynią nie jest, a po prostu szkołą. Przez szkołę zaś rozumiem instytucję, w której ludzie się czegoś uczą.

Ale nie wybiegajmy zanadto naprzód. Zanim przejdziemy do określenia miejsca uniwersytetu wśród innych zakładów i instytucji wychowawczych, dobrze będzie przypomnieć sobie starą i dobrą klasyfikację cnót u św. Tomasza. Mówię cnót, bo „cnota” znaczy w jego języku tyle, co sprawność, a więc aktywna dyspozycja, umożliwiająca człowiekowi, który ją posiadał, sprawne i intensywne, słowem dobre wykonywanie tych czy innych czynów. W ten sposób pojmując cnoty, łatwo zauważyć, że wszelkie wychowanie ma na celu kształcenie cnót i nic innego. Dlatego od schematu cnót zacząć nam wypada.

Otóż, proszę Państwa, św. Tomasz odróżnia dwie wielkie grupy cnót: cnoty moralne i cnoty intelektualne. Nowsi filozofowie, co prawda, większy kładą nacisk na inne jeszcze rozróżnienia i będą mówili o sprawnościach religijnych, etycznych i innych jeszcze... To dla naszego zagadnienia nieważne. Ważne jest tylko to, że uniwersytet ma całym oczywiście na celu kształtowanie nie cnót moralnych, ale właśnie intelektualnych. Powiem za chwilę, że choć faktycznie, poprzez swoją rolę nauczycielską, wychowuje także pewne cnoty moralne, ma na celu wprost i przede wszystkim kształtowanie intelektu.

Istnieją pod tym względem pewne, dość groźne nieporozumienia. Nie brak takich, którzy z uniwersytetu chcieliby zrobić pensjonat albo jeszcze pobożniejszą parafię. Pomysł zaiste piękny. Szkoda tylko, że grozi on zarzuceniem istotnej i pierwszej funkcji uniwersytetu, tj. funkcji nauczycielskiej. Bo do wychowania męstwa jest np. wojsko, do pielęgnowania cnót religijnych mamy klasztory i kościoły. Ale jeżeli uniwersytet przestanie kształtować na najwyższym szczeblu cnoty intelektualne, to prawdopodobnie trzeba będzie się zapytać, kto go zastąpi. Może by więc dobrze było dać spokój owym moralizatorskim tendencjom i próbom przerobienia uniwersytetu w pensjonacik dla grzecznych panien. To jest pierwsza teza, którą ośmieliłbym się Państwu poddać pod rozwagę. Szewc powinien pilnować kopyta, a uniwersytet wiedzy.

Jeżeli zgodzimy się, że przedmiotem uniwersytetu i jego zadaniem jest kształcenie cnót intelektualnych, zachodzi pytanie, jakich cnót? Tych cnót jest bowiem według św. Tomasza pięć. Mądrość, której przedmiotem jest pogląd na świat. Inteligencja odnosząca się do pojmowania zasad. Nauka – sprawność teoretycznego rozumowania w danej dziedzinie. Sztuka, którą byśmy dziś nazwali sprawnością techniczną. Wreszcie roztropność, cnota pół moralna, pół intelektualna, pozwalająca temu, kto ją posiada, stosować sprawnie zasady życiowe w życiu.

Jeżeli pozwoliłem sobie nudzić Państwa wyliczeniem tej litanii, to nie bez powodu. Wiemy mianowicie, że niektórzy tak wysoce sobie uniwersytet cenią, że radzi by z niego uczynić wychowawcę wszystkich cnót intelektualnych. I tak niejeden filozof prorokuje z katedry światopogląd, tworząc go lub przynajmniej myśląc, że go tworzy. Wielu sądzi, że uniwersytet to siedziba inteligencji. Inni jeszcze radzi by z niego zrobić szkołę techniczną, zawodówkę, w której młodzież uczy się owego sprytu niezbędnego przy obróbce żelaza czy ludzi, sprytu, który nazywamy techniką. Wreszcie mamy podtrzymujących nieporozumienie, trwające tu i ówdzie od czterdziestu przeszło wieków, co to rządy społeczeństwem najchętniej powierzyliby uczonym, ludziom uniwersyteckim. Co do mnie – wszystkie te poglądy między bajki kładę.

Uniwersytet nie jest stolicą mądrości. Nie jest twórcą mądrości nadprzyrodzonej, tj. wiary i daru mądrości, pochodzącej wprost od Boga. Nawet straż nad nią nie do uniwersytetu, ale do Kościoła na-

leży. Także i mądrości doczesnej nie tworzą profesorowie, ale myśliciele, wodzowie, wielcy przywódcy społeczni, mężowie stanu. Dodajmy, że zwykła matka-Polka ma jej zazwyczaj więcej od najbardziej wykształconego męża nauki. Uniwersytet nie ma także za zadania tworzenia inteligencji, jakkolwiek przyczynia się do jej rozwoju. Inteligent a człowiek inteligentny, to, jeżeli się nie mylę, nie całkowicie to samo. Wreszcie uniwersytet nie jest zawodówką, bez względu na owe uniwersytety, które moskiewskie ciemnogłowy obecnie w Polsce tworzą na trupie prawdziwego uniwersytetu. A praktyka wykazuje dobitnie, że nie potrzeba mieć uniwersyteckiego wykształcenia, aby być roztroptym. Nie mało wybitnych polityków umiało wprawdzie czytać i pisać, ale niewiele więcej.

Którą więc z cnót intelektualnych wychowuje uniwersytet? Tę oczywiście, której nie wymieniliśmy: naukę. Uniwersytet jest siedzibą i szkołą nauki w tomistycznym tego słowa znaczeniu. A więc tej sprawności, tej cnoty, dzięki której posiadający ją człowiek umie sprawnie obracać się w tych teoretycznych dziedzinach, gdzie rozumowanie jest potrzebne. Jeżeli Państwo koniecznie chcą nazywać go świątynią, to uniwersytet będzie świątynią rozumu. Mówię rozumu, nie inteligencji i nie mądrości, a więc władzy, za pomocą której wyprowadzamy wnioski, porządkujemy, rozumiemy. Rozum jest jego dziedziną, a wszystkie nauki, wszystko, czego się rozum jać może, z natury do niego należy. *Nilhil rationalis ab eo alienum esse puto.*

Do tego ostatniego twierdzenia wypada, tak mi się przynajmniej zdaje, przywiązywać pewną wagę. Uniwersytet nie jest siedzibą innych cnót intelektualnych, a tym mniej moralnych. Natomiast jeżeli o naukę chodzi, nie ma i nie powinno być niczego, co by nie podpadało pod jego kompetencję i to wyłączną kompetencję, proszę Państwa. Inne szkoły podają wiedzę przez uniwersytet wykutą. Zawody techniczne stosują chywy techniczne na jego teorii oparte. Nie ma w ogóle w ludzkim społeczeństwie nikogo i niczego, co by mogło w tej dziedzinie z uniwersytem konkurować, tym mniej dyktować mu prawa. Obejmuje on całokształt nauki i jest w tej dziedzinie suwerenny. Nie można nawet sobie wyobrazić nadrzędnej naukowej instytucji. Kościół i państwo mogą co prawda zabiegać, aby uniwersytet należycie spełniał swoje zadanie. Mogą stawiać mu postulaty i granice tam, gdzie jego działalność dotyka innych dziedzin, mądrości na przykład albo techniki. Jednak w dziedzinie nauki uniwersytet jest – powtarzam – suwerenny.

Wielkie to słowo, Państwo powiedzą, i wypadaloby je uzasadnić. Takim uzasadnieniem chętnie służę, choć w skrócie, bo rzecz wydaje mi się z naszego punktu widzenia dość ważna. Odrzucamy, jak powiadam, wszystkie fantazje o kulcie nauki i nasze uzasadnienie postulatów suwerenności, jego praw, musi być inne. Co do mnie sędzę, że on te prawa posiada i z katolickiego punktu widzenia. Ma prawo do istnienia i rozwijania się swobodnie dlatego, że: 1) wiedza jest czymś, czego człowiek z na-

tury pożąda; 2) dlatego, że poznanie rozumowe w miarę możliwości prawdy wiary i świata wydaje się obowiązkiem człowieka; 3) dlatego, że przynajmniej niektóre działy nauki stanowią nieodzowną podstawę techniki, a technika wydaje się być także naszym obowiązkiem; 4) wreszcie dlatego, że uprawianie nauki jest wysoką szkołą niektórych nieodzownych człowiekowi cnót moralnych.

Niech wolno mi się będzie zająć tymi racjami bytu nauki, a więc i uniwersytetu. Bowiem, jeżeli uniwersytet ma naukę za zadanie, sens nauki jest zarazem jego sensem. Człowiek więc, w przeciwieństwie do zwierząt, pragnie rozumieć. Chrześcijaństwo nie zniosło i nie mogło znieść tego naturalnego pragnienia, bo jak uczy św. Augustyn, łaska natury nie znosi, ale ją podnosi. Dlatego każda próba odmówienia człowiekowi prawa do rozumienia jest pomniejszeniem ludzkiej istoty. Próby takich zakazów występowały i występują nieraz i u nas, i poza Kościołem, św. Damian [Piotr Damiani] np. mówił podobno, że logika, główne narzędzie nauki, jest dziełem szatana. Najmniejszy namysł nad tajemnicą Trójcy Świętej jest stratą cennego czasu. Niejeden dzisiejszy egzystencjalista myśli zresztą podobnie. To jednak stoi w sprzeczności z oczywistymi faktami o naturze ludzkiej. Jest, moim zdaniem, rodzajem manicheizmu, z pogwałceniem tej natury.

Lepsze zrozumienie świata na naszą miarę i według biednych naszych możliwości wydaje się po wtóre nie tylko potrzebą ludzkiej natury, ale i naszym obowiązkiem. Ja przynajmniej nie mogę

nigdy zrozumieć tych chrześcijan, którzy zabraniają namysłu nad wiarą, tj. naukowej, czyli teoretycznej teologii. Według nich Bóg objawił niektóre szczegóły swego wewnętrznego życia po to zapewne, abyśmy dogmatów nauczyli się na pamięć i nigdy o nich nie myśleli. Rozum jest, ich zdaniem, wyłączony, chyba z wiary Bożej. Stanowisko takie, proszę Państwa, jest, aby się uprzejmie wyrazić, jakimś dzikim nieporozumieniem. Stoi ono w sprzeczności z czymś, czego nam, katolikom, lekceważyć nie wolno: z tradycją, wielką tradycją i świętą tradycją Atanazy, Hilary, Ambrożych, Augustynów i Tomaszów. Nie jest to teoria możliwa do przyjęcia. Ze stanowiska katolickiego winna istnieć teologia. Jest ona obowiązkiem ludzkości. Winna istnieć także nauka prowadząca do przyrodzonego zrozumienia świata. Nie mogę sobie inaczej wytłumaczyć, w jakim celu jego niezmiernie piękno, nieskończona złożoność zostały stworzone, jeżeli nie po to, aby być przez wolne duchy poznane i w modlitwie odniesione do Boga. Z tej płaszczyzny nauka jest wzniosłą funkcją ludzkości. Uniwersytet, który jej służy, pełni misję naprawdę religijną, pełni ją nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy nie zamienia się w pobożną kapliczkę, ale trwa przy swoim zadaniu przez uprawianie nauki.

Trzecim powodem uzasadniającym prawa uniwersytetu z naszego stanowiska jest rola niektórych nauk jako fundamentu techniki. My, chrześcijanie dwudziestego wieku, mamy, tak się przynajmniej wydaje, lepszy wgląd w pełny sens niektórych części Pisma Świętego,

Księgi Rodzaju np. i w rolę pracy nad opanowaniem przyrody. Wiemy, że pozwala ulżyć niejednemu cierpieniu. Wiemy także, że świat ma między innymi głównie ten sens: stać się coraz bardziej narzędziem ducha w jego drodze do Boga. Technika sprowadzała na świat i jeszcze sprowadza wiele zła, ale to zło z jej istoty nie wynika. Technika jest postulowana, nie zakazana przez nasz pogląd na świat. I dlatego rozwijać się powinna nauka, która ją umożliwia.

Wreszcie nawet gdyby nauka nie była tym wszystkim: zaspokojeniem naturalnego pędu ducha ludzkiego, obowiązkiem i narzędziem opanowania świata, wypadałoby nam ją jeszcze uprawiać, choćby dlatego, że pielęgnowanie nauki jest wysoką szkołą niektórych cech charakteru. Duch naukowy to duch obiektywizmu, zapomnienia o sobie, zatopienia się w prawdzie, przez co jest tak bliski zasadniczej postawie chrześcijańskiej i taką potrzebą w naszych czasach wybujałego subiektywizmu. Duch naukowy to duch rzetelnego wysiłku woli, żmudnej i drobiazgowej pracy, to duch krytyczny, nieulegający tak silnie na nas działającej presji uczuć. Duch naukowy to duch pokory. Bo nikt tak dobrze jak naukowiec nie wie, że wie tak mało. Naprawdę, nawet gdyby nauki były skądinąd niepotrzebne, dla samych względów moralnych trzeba by stworzyć uniwersytet i uprawiać na nim naukę. Uniwersytet reprezentuje w społeczeństwie wielkie i ważne wartości moralne przez naukę. Są i inne tytuły do istnienia i wolności, ale ten jeden wystarczyłby, aby jego prawa uzasadnić.

Zadajmy sobie teraz pytanie, w jaki sposób uniwersytet to swoje zadanie spełnia? Odpowiedź jest powszechnie znana. Przez badanie i uczenie. Badanie, twórczość naukowa, jest z tomistycznego punktu widzenia także rodzajem wychowania. Uczony bowiem, który odkrywa fakty albo tworzy nowe teorie, podnosi sam siebie, wychowuje się w pewnym tego słowa znaczeniu intelektualnie. Dlaczego takie badanie jest potrzebne? Dlatego, że człowiek według nauki tomizmu jest jedynym stworzeniem postępowym w świecie, na skutek przedziwnego połączenia w nim ducha z materią. Pojęcie nauki raz na zawsze zdobytej i w żaden sposób nierozwijającej się jest sprzeczne z tym pojęciem człowieka. Pielęgnować naukę znaczy nie tylko podawać zdobytą już wiedzę, to przede wszystkim tworzyć nową. W ten tylko sposób zresztą może człowiek zaspakajać swój nieskończony głód wiedzy. Badanie jest tedy pierwszym obowiązkiem uniwersytetu.

Drugim jego obowiązkiem jest uczenie. Tradycyjnie powierzane są te dwie funkcje tym samym ludziom, przynajmniej z reguły, i tak jest dobrze z dwóch względów. Najpierw dlatego, że wykład badacza będzie zawsze bardziej brał niż lekcja zwykłego przekazywacza nabytej przez innych wiedzy. Następnie dlatego, że nauka jest przede wszystkim metodą, a tej metody może uczyć ten tylko, który ją czynnie stosuje. Tutaj nasuwa się jednak jeden z najtrudniejszych problemów współczesnego uniwersytetu. Teoretycznie obstaje on przy tym, przynajmniej u nas w Europie, aby uczyć nauki czystej; w praktyce coraz bardziej prze-

mienia się w szkołę zawodową, ucząc techniki, nie nauki. W Stanach Zjednoczonych doszło podobno do tego, że nauka schroniła się nieraz do instytutów badawczych niezwiązanych z nauczaniem, podczas gdy uniwersytety stają się szkołami zawodowymi. Pytanie, czy tak jest dobrze, czy też przeciwnie – tendencja współczesna nie jest zgubna, stanowi jeden z głównych przedmiotów dyskusji o uniwersytecie.

Jeżeli wolno wypowiedzieć mój pogląd na tę sprawę, zauważyłbym, że wypada tutaj, jak zawsze, wystrzegać się skrajności. Wspomniałem powyżej, że jedną z racji bytu nauki jest to, że stanowi ona podstawę techniki. Jeżeli więc w jakimś dziale techniki potrzeba wiele wiedzy naukowej na najwyższym poziomie, a nie samej techniki w jednej dziedzinie, to trudno potępiać uczenie tej techniki na uniwersytecie. Mówię o technice w najszerszym znaczeniu, nie wyłączając ani techniki duszpasterza, ani techniki nauczyciela czy sędziego.

Skądinąd jednak byłoby źle, gdyby zapomniano o innych racjach istnienia uniwersytetu – o nauce jako zrozumieniu Boga i świata. Powie mi kto, że te dwie rzeczy z trudnością dadzą się pogodzić; ale pogodzić je musimy pod groźbą okaleczenia naszej kultury. Czołowy niemiecki filozof współczesny, prof. Karol Jaspers, a za nim wielu innych, np. prof. Adolf Dyroff, sugerują coś, co nazwałbym uwarstwieniem uniwersytetu. Zawierałby on jądro poświęcone czystej nauce; u nas katolików to jądro obejmowałoby teologię teoretyczną (podkreślam, że nie szkolenie praktyczne duszpasterzy, ale teologię teoretycz-

na), humanistykę i nauki przyrodnicze. Około tego jądra skupiałby się wydział praktyczny, a więc teologii praktycznej i kształcącej księży, prawa kształcącego sędziów i adwokatów, medycyny dla lekarzy, inżynierii dla techników, szkoła pedagogiczna dla wychowawców, handlowa dla handlowców itd. Nie wiem, czy ten pomysł jest jedynym rozwiązaniem trudności. Wydaje mi się jednak, że coś w tym rodzaju należałoby uczy-

nić. Być może nawet trzeba będzie nam wrócić do średniowiecznej koncepcji *Facultatis Artium* stanowiącej wspólny, teoretyczny, czysto naukowy wstęp do wszystkich wydziałów praktycznych. Koncepcja ta wydaje się wskazana także ze względu na syntezę, o której jeszcze wspomnieć wypadnie. Tyle, proszę Państwa, o właściwej misji uniwersytetu, o jego przedmiocie specyficznym, tj. o nauce.

## II

Wspomniałem już, że nieporozumieniem jest powierzać uniwersytetowi kształcenie mądrości i innych cnót intelektualnych poza nauką. Z tego jednak nie wynika, aby uniwersytet nie spełniał także w stosunku do tych innych sprawności intelektualnych pewnych zadań pośrednio, a mianowicie zadania wynikającego z jego zadania głównego lub z nim związanych. Przeciwnie, wydaje mi się, że zadania te w rzeczy samej uniwersytet posiada i spełniać powinien.

Zaczynam od mądrości. Ściśle mówiąc, mądrość ma za przedmiot sam tylko pogląd na świat, a więc najogólniejsze prawdy i wartości kierujące życiem jako całością. Któż jednak nie wie, że mądrość tak pojęta potrzebuje uzupełnienia, w tym sensie mianowicie, że człowiek pragnie całość tego, co wie i co czyni, możliwie i najściślej podporządkować ogólnym zasadom mądrości, którą wyznaje. Otóż podporządkowanie takie jest niczym innym, jak budowaniem systemu aksjomatycznego mającego w idealnym wypadku objąć wszystkie zdania

uznane przez człowieka za trafne. Uniwersytet zatem ma pewne obowiązki wobec mądrości, bo system aksjomatyczny jest zawsze dziełem rozumu, nauki, a więc podpada pod przedmiot uniwersytetu. Zadanie to nazywa się zadaniem syntezy.

Raczą mi Państwo wybaczyć, że o owej sławetnej syntezie, o której się dziś tyle rozprawia, będę mówił z pewną irytacją. Jest to *deformation professionnelle* [skrzywienie zawodowe] logika, który nie lubi, aby o jego dziedzinie opowiadano głupstwa, ale niestety słyszy ich tyle, że głowa czasem mu puchnie. Nie mogę wchodzić w szczegóły, bo to by nas za daleko zaprowadziło. Wymienię tylko kilka prawd, które koniecznie do intelektualnego zbawienia w tej sprawie znać potrzeba – to jest, aby uniknąć najgrubszych nieporozumień.

Prawda 1. Wyrażenie „nauka“ jest wyrażeniem wieloznacznym i znaczy przynajmniej trzy różne rzeczy, choć posiadające pewne cechy wspólne. Mamy więc nauki teologiczne, starające się pogłębić

rozumienie wiary, nauki, które nazwiemy „eidetycznymi“, usiłujące zrozumieć świat przyrodzonymi środkami, wreszcie nauki, które nazwę „pragmatycznymi“, mające na celu opanowanie świata. Te nauki są w zasadzie różne. Pokutują ciągle jeszcze myśli o jakimś idealnym systemie aksjomatycznym, w którym wszystko, czego wszystkie te nauki uczą, byłoby pięknie wydedukowane z jednego założenia. Ale myśli te, przepraszam Państwa za wyrażenie, są marzeniem ściętej i to w dodatku nieinteligentnej głowy, są wynikiem niezrozumienia stanowiska nauki takiej, jaka ona dziś jest, niezrozumienia przepaści, która dzieli teologię od nauk przyrodniczych i niemożności wprowadzenia przesłanek teologicznych do nauk przyrodniczych, a nawet przesłanek nauk eidetycznych do nauk czysto pragmatycznych, które do prawdy w ogóle nie pretendują. Naprawdę, proszę Państwa, takiej syntezy nie było, nie ma i nigdy nie będzie i trzeba by wreszcie temu pomysłowi dać spokój.

Prawda 2. Istnieje obecnie, jeżeli się nie mylę, około trzydzieści tysięcy czasopism ściśle naukowych, przeważnie kwartalników, ale nieraz bardziej częstotliwych. Co z tego bezpośrednio wynika? Państwo się prawdopodobnie domyślają. Powiem tylko dla ilustracji, że w logice matematycznej, młodej i młodej jeszcze nauce w porównaniu z mechaniką, a nawet z krytalografią, myślimy obecnie poważnie nad stworzeniem specjalnego pisma dla wulgaryzacji nowych zdobyczy tej nauki wśród nas samych. Jest bowiem tak, że już nikt spośród nas, logików, wyników tej skromnej i młodej nauki opanować nie

potrafi. Wniosek: pomysł jakiegoś nowego Alberta Wielkiego, który by wszystko wiedział, co się w naukach mówi i wszystko jakoś w swojej głowie poszufladkował, jest niewykonalny. Nawiasem mówiąc, Albert Wielki też wszystkiego nie wiedział, co wówczas wiedziano w naukach.

Nie tylko więc syntezy w znaczeniu systemu aksjomatycznego, w którym by wszystko było wydedukowane z jednej zasady, nie ma i nie będzie, ale nie ma nawet możliwości połączenia całej wiedzy w jednym umyśle. Może szkoda, ale naprawdę trzeba sobie zdać sprawę, że tak już jest. Michał Archanioł święty zdolny jest zapewne do takiego wyczynu, my nie. Synteza, proszę Państwa, nie jest zatem możliwa ani w pierwszym, ani w drugim z wymienionych znaczeń, ani jako system aksjomatyczny, ani jako owo ześrodkowanie w myśli jednego myśliciela. Powiedzmy, innymi słowy, że nie jest możliwa, przynajmniej pełna, synteza od góry, przez jednego człowieka, który całość nauki objął i uporządkował. Tego się naprawdę nie da zrobić.

Z tego jednak nie wynika, by nie była możliwa innego rodzaju synteza. Myślę oczywiście, że możliwa jest najpierw pewna częściowa synteza od góry. A następnie coś, co nazwałbym pewną syntezą od dołu.

Zacznijmy od tej syntezy od góry. Wymienię tutaj postulat, który, choć sam synteza nie jest, warunkuje wszelką pracę syntetyczną, mianowicie postulat uniwersalności. Sformułowałem go już słowami: *Nil rationalis ab universitate alienum esse puto*. Minimum, którego od uniwersytetu żądać mamy



prawo, to ten uniwersalizm: aby badał wszystko, czego rozum się w teorii imać może i wszystkiego tego uczył. Ten postulat jest niestety z różnych stron gwałcony. Jedni ograniczają uniwersytet w zasadzie do nauk technicznych, pragmatycznych, jak je nazwałem. Inni radzi by wyrzucić z niego te właśnie nauki, a razem z nimi nieraz i teologię, ograniczając jego pole działania do zrozumienia świata. Najzabawniejsze jest przy tym, że niektórzy katolicy, ba, niektórzy katolicki profesorowie teologii tego rodzaju pomysły czasami głoszą.

Między niekatolikami, a pod ich wpływem także u nas, szerzy się niezrozumienie rozumowego, więc naukowego charakteru teologii. Ten błąd, dość zresztą grubiański, zawdzięczamy, my Polacy, naszym kochanym wieszczom, nieznośnym sentymentalistom i fideistom, którzy to wiarę gwałtem chcieli wpechnąć w dziedzinę uczucia. Czas byłoby naprawdę z tych nieporozumień się otrząsnąć. Uniwersytet – to jest zasadniczy postulat – powinien być uniwersalny, powinien uczyć wszystkich nauk.

Przechodząc teraz do syntezy właściwej, powiem, że ćwierć wieku temu w Szkole Wiedeńskiej powstał pomysł tzw. Einheitswissenschaft, nauki jednolitej. Był on co prawda obarczony szeregiem nieporozumień, ale zawierał przecież zdrową treść, a mianowicie przekonanie, że wszystkie nauki opierać się powinny na tej samej logice. Na tym jednym punkcie istnieje w samej rzeczy coś, co ogrom współczesnej nauki przecież łączy. Tym czymś jest logika. Co prawda uparte trwanie przy owych *Barbara, Celarent...* [nawiązanie do łacińskiego wierszyka,

ułatwiającego zapamiętanie jednego z trybów sylogizmu] doprowadziło do tego, że naukowiec stracił całkowicie zaufanie do logiki. Dziś jednak, chwała Bogu, mamy logikę lepszą. I nadszedł czas, aby stała się ośrodkiem i pomostem łączącym wszystkie nauki, jeżeli wolno się tak wyrazić, od wewnątrz i od góry. Nie ona jednak sama, nie ona sama jedynie może to uczynić. Nauka współczesna posiada jakiś dziwny pęd do epistemologii, do podbudowywania swoich poczynąń rozważaniami nad teoretycznym znaczeniem tych wysiłków, nad ich *portée* [znaczenie, zasięg, siła, skuteczność], jak mówią Francuzi. W niektórych dziedzinach, np. w samej logice matematycznej, rozważania takie weszły w sferę samej nauki do tego stopnia, że bardzo trudno dziś logikę opracować, nie uwzględniając epistemologii. Być więc może, że epistemologia, jakiegoś nowego oczywiście typu, mogłaby stanowić drugą więź między naukami. Wymieniam te dwa punkty tylko tytułem przykładu, gdyż zapewne możliwości podobnych jest więcej.

Wreszcie istnieje w naukach szereg cech bardziej zewnętrznych, a jednak wspólnych wszystkim. Mam na myśli z jednej strony wspólnego ducha nauki, z drugiej pewne koncepcje dotyczące sensu życiowego i roli społecznej nauki. Wydaje mi się, że dzisiejsze wołania o syntezę te rzeczy przede wszystkim mają na celu. Chodziłoby więc o to, ażeby wszystkim naukom nadać wspólną podstawę w tym względzie. Raz jeszcze, chodziłoby o rodzaj syntezy od góry: te nowe podstawy i twierdzenia musiały-

by być wypracowane centralnie dla całego uniwersytetu.

Zanim jednak powiem coś o syntezie tej pracy, wypada wspomnieć o syntezie od dołu. Rozumiem przez to świadome wbudowanie danej nauki w jakiś ogólny schemat, a przynajmniej znalezienie miejsca dla tej nauki w ogólnym schemacie, nie przez filozofa lub teologa ogarniającego całość wiedzy współczesnej, bo to jest niemożliwe, ale przez specjalistę. Oczywiście nie trzeba sobie wyobrażać, aby włączenie każdej nauki mogło być dokonane w ten sam sposób. Aby wrócić do logiki matematycznej, nikt nie potrafi uczynić jej przecież chrześcijańską w ten sam sposób, w jakim chrześcijańską może i powinna być np. pedagogika. Każda grupa nauk, nie raz każda poszczególna nauka, musi być włączona w ogólny schemat na swój odrębny sposób. Dlatego też taka synteza, którą nazywam syntezą od dołu, może dokonać się tylko wysiłkiem samych specjalistów, nie jakichś uniwersalistycznych myślicieli.

Jakie są warunki udania się podobnego przedsięwzięcia? Zauważmy najpierw, że, aczkolwiek praca budowania syntezy jest wysiłkiem rozumu, a więc nauki, zakłada ona mądrość, to jest pogląd na świat. Gdzie nie ma jednolitej mądrości, nie będzie i nie może być syntezy. Stąd nasz postulat katolickiego uniwersytetu. Uniwersytet katolicki to nie jest uniwersytet rządzony przez przewielebnego księdza prałata, ani też uniwersytet, w którym teologia odgrywa przytłaczającą rolę. To uniwersytet, w którym wszyscy albo prawie wszyscy profesorowie są myślicie-

lami katolickimi. A podkreślam raz jeszcze, że być katolikiem na uniwersytecie nie polega na tym, aby mówić różaniec i pilnie chodzić na nabożeństwa pierwszego piątku miesiąca, choć to są ćwiczenia zbożne i pożyteczne. Nie polega bynajmniej także na uprawianiu apologetyki. Być katolikiem na uniwersytecie, znaczy myśleć po katolicku, zakładać katolicką mądrość. Niech mi wolno będzie wspomnieć, że uniwersytet, do którego mam zaszczyt należeć, Państwowy Uniwersytet katolickiego kantonu Fryburga, po długim szukaniu drogi zdaje się obecnie znajdować swoje katolickie oblicze. Nie rządzą nim prałaci. Jeżeli jestem w tym roku dziekanem, to po prostu dlatego, że przyszła na mnie kolej demokratyczna. Na 150 wykładowców mamy tylko 20 księży, apologetyki uprawiamy bardzo mało. Ale na wydziałach świeckich, mam przede wszystkim na względzie prawo i nauki pedagogiczne, wre praca nad stworzeniem owej syntezy od dołu, nad włączaniem przez każdego specjalistę jego dziedziny w katolicki schemat ogólny.

Oczywiście, aby się to udało, specjaliści muszą znać mądrość, co więcej, wypada, aby znali więcej, aniżeli swoją nagą wiarę, aby posiadali jakieś przynajmniej wykształcenie teologiczne. Trzeba też, aby posiadali dość dobrą orientację filozoficzną, nie wspominając już o logice i epistemologii. Trudno dobrze kłaść fundamenty wiedzy prawnej, a tym bardziej pedagogiki, bez pogłębionej znajomości etyki. Koniecznym jest też, aby wszyscy znaleźli coś, co można by nazwać naukoznawstwem,

ogólną filozoficzną teorią nauki, jej roli i funkcji społecznej, logiki, ducha itp. W Polsce przed wojną zaczęliśmy tę naukę lepiej może od innych tworzyć. Trudno nie wspomnieć z goryczą, że w chwili, w której Państwo moje słowa słyszeć będą, to, co pozostało z tych wysiłków, dogorywa w Warszawie pod ciosami moskiewskich prymitywów. Jeden powód więcej, abyśmy nie ustępowali w pracy.

Z tego wszystkiego jeden wniosek ogólny wygląda tak, jak gdyby trzeba było powrócić do koncepcji *Facultatis Artium*, owego wydziału ogólnego, w którym wszyscy studenci innych wydziałów, a przeciw wszystkim przyszli profesoria uczyli się elementów teologii, filozofii, logiki, naukoznawstwa i tym podobnych przedmiotów. Nie widzę, jak bez tej reformy dalibyśmy sobie radę z zagadnieniem syntezy. A syntezę tworzyć trzeba. Poszliśmy w uniwersytecie niewątpliwie za daleko w kierunku specjalizacji; nauki są dziś rozproszkowane. Wyszło nam to może na zdrowie, bo pozbyliśmy się złudzenia co do możliwości pewnych za bardzo ambitnych syntez. Ale czas dziś powrócić do bardziej syntetycznych myśli. Jest rzeczą pierwszorzędną wagi, abyśmy my, katolicy, dzisiaj, w okresie ogólnego pędu ku syntezom mieli takie jasne przesłanki i rozpracowane stanowisko.

Poza syntezą do uniwersytetu należy w stosunku do mądrości inne porządkujące zadanie. Mamy na myśli pewne funkcje obronne. Oczywiście nie w znaczeniu apologetyki, która jest funkcją specjalną, różną od zadań uniwersytetu jako takiego. Chodzi raczej o to, że uni-

wersytet, reprezentując naukę, może i powinien jako taki przeciwdziałać pewnym naiwnym a niebezpiecznym dla wiary maluczkich nieporozumieniom. W pierwszym rządzie scjentyzmowi, owej płytkiej filozofii, która głosi, że istnieje jakiś naukowy pogląd na świat i usiłuje zastąpić wiarę przez hipotetyczny zbiór wyników naukowych z dodatkiem nieprzemyślanych tez panteistycznych. Widzieliśmy z przyjemnością na ostatnim zebraniu docentów szwajcarskich uniwersytetów trzech mówców, z których żaden nie jest katolikiem, a co najmniej dwóch do chrześcijaństwa zupełnie się nie przyznaje, z wielką energią podkreślających tę właśnie rolę uniwersytetu.

Niech mi wolno będzie dodać jeszcze, że funkcje te uniwersytet spełni tym lepiej, im będzie bardziej wierny swojej naukowej misji, im mniej będzie u jego przedstawicieli tendencji apologetycznych. Raz jeszcze pragnę stwierdzić, że wartości, które uniwersytet może dać, zależą przede wszystkim od tego, aby był sobą, siedzibą nauki.

A skoro o apologetyce mowa, uniwersytet przyczynić się może do obrony wiary w duszach ludzi nieuczonych także po prostu przez to, że jego poważni przedstawiciele do tej wiary się przyznają. Jak olbrzymie wrażenie wywołuje to w umysłach, mogłem to stwierdzić także we Francji, gdzie myśliciele miary prof. Lavelle'a albo fizyk o sławie prof. de Broglie, a więc ludzie, którzy naukę uprawiali zawsze w duchu św. Tomasza, bez wciągania jej w orbitę jakichkolwiek przesłanek religijnych, wywarli i wywierają przez swoją postawę katolicką silny

wpływ. Ale rozumiem, że Państwa zagnudzą ustawiczne powtarzania. Jeżeli społeczeństwo chce mieć tę pomoc ze strony uniwersytetu, wypada, by zrozumiało, że otrzyma ją za cenę tylko utrzymania wolności bycia sobą, służenia wprost i wyłącznie nauce.

Mówiłem, proszę Państwa, o roli głównej uniwersytetu i jego stosunku do mądrości. Chciałbym dodać jeszcze na zakończenie parę słów o tym, jak oddziaływać on może na inną cnotę intelektualną, na roztropność, a zarazem na życie społeczne, którego kierownictwo od roztropności politycznej, a więc szczytowej zależy. Roztropność to nie nauka. Jak powiedziałem, powierzanie profesorom jako takim funkcji kierowniczych w społeczeństwie jest nieporozumieniem. Może się oczywiście zdarzyć, że profesor jest także politykiem, ale to oczywiście z uniwersytetem jako uniwersyte-tem nie ma nic wspólnego.

Mam przyjaciela szewca, który jest niezłym filatelistą, z czego nie wyciągałbym wniosku, że szewcom należy powierzać ocenę znaczków pocztowych. Niemniej, proszę Państwa, zadania uniwersytetu zazębiają się o roztropność polityczną, a to nawet na dwa sposoby. Najpierw roztropność w akcie czy sumienie jest, według św. Tomasza, sylogizmem, w którym występują zawsze pewne ogólne przesłanki. Te przesłanki będą z reguły zawierać zdania wzięte z mądrości, a obok nich bardzo często – zawsze w sprawach bardziej skomplikowanych – będą to zdania ogólne, pochodzące także z nauki. Innymi słowy, nauka dostarcza roztropności części jej materiału, części jej przesłanek. Otóż, jeżeli tak jest,

wyduje się rzeczą samą przez się zrozumiałą, że polityk, działacz społeczny itd. będzie się naukowca radził. Nie chciałbym być źle rozumianym. Nie może być mowy o tym, by uniwersytet miał być rozstrzygającym czynnikiem politycznym czy społecznym. Niemniej powinien być jednym z czynników oddziałujących na te sprawy.

Funkcja doradcza, wspomaganie mężów stanu, kierowników Kościoła, państwa, wielu organizacji społecznych itd. jest więc czymś, co, jeżeli się nie myli, do myśli uniwersytetu w związku z jego istotą należy. Poszedłbym w tym kierunku tak daleko, że uważałbym wprowadzenie odpowiednich klauzul do konstytucji za rzecz w najważniejszym stopniu pożądaną. To jest jedyna droga, poprzez którą uniwersytet wpływa i powinien wpływać na sprawy polityczne i społeczne. Jest jednak inna, mniej istotna teoretycznie, ale przecież praktycznie znacznie bardziej ważka.

Nadto złożyło się tak, że mało które inne dziedziny posiadają swoje zakłady wychowawcze najwyższego szczebla. Nauka posiada je od średnich wieków.

Rola nauki (wraz z tym, co ją wiąże z mądrością, roztropnością i techniką) jest tak cenna dla nas, że domagamy się studiów uniwersyteckich od wszystkich niemal mających zająć wyższe stanowiska w społeczeństwie. W tym znaczeniu *de facto*, choć to wcale do jego istoty nie należy, uniwersytet jest w obecnej sytuacji jedyną instytucją wychowującą w ostatniej i jakże ważnej fazie tzw. przywódców społecznych.

Muszę przyznać, że ten fakt sprawiał mi zawsze naprawdę wiele kłopotu i nie

bardzo wiem, aby być szczerym, co z nim zrobić. Bo, proszę Państwa, uniwersytet jest w swojej istocie instytucją naukową, a więc powtarzam, zorientowaną na cnotę intelektualną, podczas gdy wychowanie powinno być przede wszystkim wychowaniem moralnym. Wprawdzie starałem się tu wykazać, że uniwersytet szkoli także pośrednio pewne cnoty moralne, ale nikt chyba nie uzna tego zespołu cnót, który on poprzez wykształcenie ducha naukowego może wychować, za wystarczające dla pełnego człowieka. Brak na przykład w tym zespole tak ważnych cnót, jak miłość bliźniego, uczciwość ściśle pojęta itd. Otóż ten na naukę nastawiony uniwersytet znajduje się obecnie w tym położeniu, że musi wychowywać ludzi i to ludzi społecznie bardzo ważnych, bo inteligencję. Jak może on temu zadaniu podołać? Powiedzmy sobie otwarcie, że, jak dotychczas, z tym zagadnieniem uniwersytet sobie rady dać nie może i podejrzewam, że łatwo jej sobie nie da. Mam, co do mnie, tylko jedną sugestię w tej sprawie. Wydaje mi się, że można by wprowadzić na uniwersytecie rodzaj nauczania zasad etyki. Jest to tu i owdzie już zrealizowane. Tak np. na różnych wydziałach medycznych wykłada się deontologię. Nauczanie podobne mogłoby być połączone z owym wydziałem

wstępnym. Jego celem byłoby uświadomienie studenta o roli społecznej inteligencji nie jako naukowca, ale jako człowieka przygotowującego się do zajęcia odpowiedzialnego stanowiska społecznego.

Oczywiście nawet pełne przeprowadzenie tego programu nie rozwiązałoby tego zagadnienia, bo aby wychowywać, nie wystarczy uczyć. Inne środki są potrzebne. Wydaje mi się, że konieczne byłoby stworzenie przy uniwersytecie jakichś instytucji wychowawczych, czegoś w rodzaju kolegiów średniowiecznych, które istnieją podobno na niektórych uniwersytetach angielskich, kolegiów, w których zupełnie bezpośrednio byłiby wychowywani ludzie. Mówię wyraźnie, przy uniwersytecie, nie na uniwersytecie. Uniwersytet, tak jak go pojmuję, powinien pozostać tym, czym jest, czym ma być; szkołą nauki. To oczywiście nie wyłącza możliwości pociągania do pracy wychowawczej w owych kolegiach i niektórych profesorów, szczególnie do takiej pracy uzdolnionych. Niektórych, nie wszystkich. Nie można wymagać, nawet jest nonsensem wymagać, aby profesor jako taki był wychowawcą cnót moralnych. Zadaniem jego jest, po raz nie wiem który to powtarzam, nauka, nauka, jeszcze raz nauka.

\* \* \*

Czas już kończyć. Proszę Państwa, oczyma wyobraźni widzę oburzenie, jakie moje refleksje o uniwersytecie w Państwu wywołują. Spodziewaliście się Państwo czegoś zupełnie innego – podkre-

ślenia roli pedagogicznej, religijnej i moralnej uniwersytetu, podczas gdy ja mówiłem prawie cały czas o nauce. Obstawiałem przy twierdzeniu, że nauka jest zadaniem uniwersytetu. A wszystko, co

nauką nie jest, obchodzić go może co najwyżej pośrednio. Może wolno mi będzie zdradzić w zakończeniu, dlaczego z takim uporem – Państwo powiedzą: z uporem godnym lepszej sprawy – bronię tej tezy.

Powodów mam dwa. Z jednej strony wydaje mi się, że mimo pozornej paradoksalności tego twierdzenia, że nauka jest dziś zagrożona, najpierw przez jednostronne hołdowanie technice, a także przez tendencje moralizatorskie, które bodaj niewiele różnią się od hołdowania tej technokracji. Prawi się dziś wiele o społecznej roli uniwersytetu, ale ma się na myśli bezpośrednio jego użytkowanie do celów praktycznych, czytając: technicznych. Wydało mi się, że przeciw tym tendencjom należy uniwersytetu bronić, przypomnieć, że jeżeli jest on pożyteczny, to przede wszystkim dlatego, że pielęgnuje wielki składnik kultury zwany nauką. Drugi powód jest może głębszy.

Mniemam, że do istoty naszej kultury, kultury zachodnioeuropejskiej, należy pluralizm, podział funkcji między wielość względnie niezależnych instytucji. My, zachodni Europejczycy, nie wiążemy wszystkiego w ściśle scentralizowaną całość „po planu“. Wyszuliśmy z dziejowego naszego doświadczenia wnioski, że niezależność Kościoła od państwa i państwa od Kościoła w ich właściwych dziedzinach, sztuki od polityki itd., jest rzeczą dobrą.

W dzisiejszych czasach, gdy te właśnie koncepcje wolności i autonomii są tak bardzo zagrożone, wydało mi się, że bardziej niż kiedykolwiek nacisk powinniśmy kłaść w naszych instytucjach na to, co stanowi specyficzną rolę, której w danej dziedzinie nikomu i niczemu nie wolno podporządkować. Być może ta myśl stanowi ośrodek moich refleksji, których Państwo byli tak łaskawi z podziwu godną cierpliwością wysłuchać.